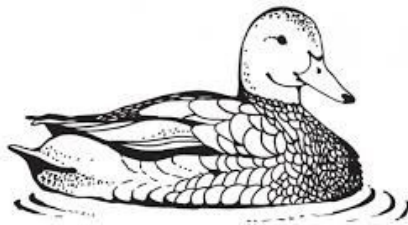


A. J. Gnoun

Doktor Prund  
i  
Niemożliwe  
Żniwo



# Spis Treści

Prolog.....	3
Rozdział I.....	5
Rozdział II.....	12
Rozdział III.....	18
Rozdział IV.....	25
Rozdział V.....	30
Rozdział VI.....	36
Rozdział VII.....	42
Rozdział VIII.....	49
Rozdział IX.....	55
Rozdział X.....	60

# Prolog

Brond wypił kolejny łyk wina.

– Jak więc będzie? Przyjmujesz moją ofertę? – spytał siedzący naprzeciw Bronda człowiek w granatowym stroju z twarzą zakrytą kapturem.

Brond oparł przedramię na stoliku i znów spojrzał z ukosa na tajemniczego człowieka, którego spotkał dziś przed barem. Niekiedy chodził do baru „Wredny Smakosz”, gdy miał coś ważnego do przemyślenia, jednak nikomu o tym nie wspominał. Tymczasem ów nieznajomy znał nie tylko ten fakt. Wiedział również, kim jest Brond. A to go bardzo denerwowało.

W swojej robocie Brond często miał do czynienia z ludźmi, których motywy nie były do końca jasne. Jednak nigdy wcześniej żaden z nich tak wiele o nim nie wiedział. I nie składał mu tajemniczych ofert.

– Nie mogę się zgodzić – odparł po chwili Brond z surowym wyrazem twarzy. – Nie interesują mnie sprawy tego pokroju.

Tym razem to tajemniczy osobnik wypił parę łyków wina.

– Szkoda – odparł z tajemniczym uśmiechem. – A już myślałem, że się dogadujemy.

– Niestety, nie. – Brond powoli wstał. – I myślę, że na tym skończymy naszą rozmowę.

Nastała dziwna cisza. Gdy Brond zamierzał już odejść, odniósł wrażenie, że nieznajomy spogląda na niego spod kaptura. Nie widział jego twarzy, ale czuł, że wzrok pada na niego. Co więcej, z całą pewnością nie był to przyjazny wzrok.

– W takim razie do zobaczenia, panie Brond. – odezwał się wreszcie nieznajomy. – Coś czuję, że to nie nasze ostatnie spotkanie.

Tak, chętnie się zrewanżuję za tak niespodziewaną i tajemniczą ofertę, pomyślał w odpowiedzi Brond.

Odwrócił się i napotkał spojrzenie ciemnowłosego mężczyzny z szerokim, budzącym grozę uśmiechem.

– Żegnam, panie Brond.

Brond cofnął się o krok przed wymierzoną w niego pięścią.

– A ty coś za jeden?

W barze było jeszcze trzech ludzi, lecz żaden z nich nie zwracał na nich uwagi, zaś barmana chwilowo nie było.

– Mów mi Doktor Prund. – Jego uśmiech nie zniknął. – O tak, ma pan poważne kłopoty...

Tym razem to Brond zaatakował. Prund wykonał szybki unik i wymierzył pięścią prosto w twarz Bronda. Uderzenie odepchnęło go o krok. Tymczasem napastnik wziął do ręki nóż i rzucił nim w Bronda. Tym razem Brond zdążył się uchylić, a nóż utknął w drewnianej ścianie. Brond go wyciągnął, lecz wtedy Prund zaatakował go krzesłem, odrzucając go na ścianę. Brond stracił równowagę. Upadł na podłogę i osłonięty krzesłem czekał na następny cios.

Jednak ten nie nastąpił. Po chwili Brond wstał i odkrył, że Prund zniknął. Tajemniczego kaptownika również nie było. Brond zrozumiał, że to było tylko ostrzeżenie.

# Rozdział I

Z sosnowego lasu szło drogą dwóch wędrownych rycerzy uzbrojonych w szable.

– Spójrz, to już mury Maka Bonk! Docieramy do domu – wykrzyknął jeden z nich.

– Racja, mój druhu. Nasz powrót dobiega końca – odparł drugi.

– Nie mogę się doczekać, aż lud dowie się o naszym zwycięstwie. Myślisz, że dotrzemy do miasta jako pierwsi?

– Cóż, cała armia jest za nami...

Za krzakami biegały dzieci, szukając malin. Rycerze spostrzegli je.

– Hej, mały! – zawołał jeden z rycerzy. – Donieś wszystkim, że wielka bitwa z Osemczykami naszym zwycięstwem się zakończyła.

Dzieciak popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Chyba nie rozumie – powiedział drugi rycerz. – Słuchaj, młody – podszedł do niego. – Rusz pędem do domu i oznajmij wszystkim, że nasze jest zwycięstwo!

Chłopiec nadal tylko się patrzył na rycerza.

– To na nic – oznajmił pierwszy z rycerzy. – Chodź, idziemy dalej. Od nas się dowiedzą.

Rycerze ruszyli dalej przez las. Szli, aż przestał on zasłaniać słoneczne niebo i przed powracającymi ukazała się brama do miasta.

Na murze stał strażnik.

– Hej, ty! – krzyknął jeden z rycerzy. – Na murze, ty! Otwórz nam, wracamy z bitwy.

– Ktoście wy? – odkrzyknął strażnik.

– Jesteśmy z armii, wracamy z bitwy.

– A bitwa? Wygrana czy przegrana?

– Wygrana, całkowita wygrana nasza.

Strażnik przez chwilę stał, jakby się zastanawiał.

– Skąd mam wiedzieć, że mówicie prawdę?

Rycerze spojrzeli po sobie.

– Jak to skąd? Jesteśmy rycerzami z tego miasta, wracamy do naszych domów! – odrzekł drugi rycerz.

– A skąd wiedzieć mam, że mnie nie okłamujecie?

– Czemu byśmy mieli? Mówimy tym samym językiem, nie jesteśmy szpiegami z obcych krain.

– A ten akcent? Wyraźnie nie stąd! – odparł strażnik.

– Urodziłem się poza krajem. – przyznał rycerz – Dorastałem w rodzinie podbitego ludu Dnejczyków, a potem wstąpiłem do armii. Wpuść pan nas, wracamy z długiej wyprawy i chcemy wypocząć, napić się i porozmawiać z mieszkańcami!

Strażnik znów zamilkł i myślał.

– A może jesteście dezterterami? Albo uchodźcami?

– Ale się uparł – powiedział jeden rycerz do drugiego. – Co robimy?

– Jesteśmy lojalnymi rycerzami, a za nami idzie cała armia – powiedział do strażnika drugi rycerz. – Chcieliśmy dotrzeć pierwsi, aby przekazać informację o zwycięstwie!

– Mogę ją przekazać, ale was nie wpuszczę – odparł strażnik.

– Dlaczegoż to? – zdenerwował się rycerz.

– Nie ufam wam, rycerze. Nie mam co do was pewności.

– Ja ci zaraz pewnoś pokażę! Jak tylko tam wejde, z nóg już nie wstaniesz! – wykrzyknął rycerz z wyciągniętą pięścią.

– Zobaczmy, czy wejdiesz – odparł strażnik.

Rycerze się zdenerwowali, lecz nie mogli nic zrobić. Musieli poczekać, aż dotrze reszta armii. Niestety w międzyczasie strażnik zawiadomił już miasto o zwycięstwie zamiast nich.

Wkrótce rozległ się szum kroków. Nadchodziły pierwsze oddziały.

\*

Rycerze wreszcie zostali wpuszczeni do środka miasta. Mieszczanie wychodzili z domów, wiwatowali wchodzącej armii i krzyczeli z radości, bowiem wielka bitwa przesądzająca los wojny została wygrana.

Wkrótce potem na jednej z wież zamkowych pojawił się król. Wokół zamku zgromadzili się mieszczanie, wznosząc okrzyki na jego cześć.

– Wiwat król Rab-Dawi! – krzyczeli ludzie.

– Wiwat król!

– Ludu Królestwa Rabzanidów! – zaczął król. – Dzisiaj odnieśliśmy zwycięstwo, które zapewni kres długiej już wojnie, jaką toczymy z Królestwem Osemii. Wkrótce ziemie Rabzanidów staną się najpotężniejszym i najlepiej prosperującym królestwem w całej Premorii!

– Niech żyje król!! – rozległy się wiwaty.

– Rab-Dawi naprawi! – krzyczeli inni.

To ostatnie było jednym z haseł, którymi król zjednoczył lud podczas wojny z dwoma braćmi o tron królestwa, o który się pokłócili. Hasło to nadal było używane i przypisywane królowi jako jego dewiza, którą kierował

się zarówno w stosunkach międzynarodowych, jak i sprawach wewnątrzpaństwowych.

Król dalej wygłaszał przemowę, w której chwalił wojsko za bohaterstwo podczas bitwy i motywował lud do pracy nad potężniejącym królestwem. Rycerze powoli rozchodzili się, wracając do swych domów, bądź idąc w stronę karczm i tawern.

– Rab-Dawi to potężny przywódca. – powiedział jeden z dwóch rycerzy. – Oby żył najdłużej ze wszystkich królów.

– Zgadza się – odrzekł drugi. – Król wyprowadził państwo z niedostatku i zapewnił ludowi dobrobyt. Być może wkrótce nie będziemy musieli toczyć tyle wojen.

– Też tak myślę.

– Co myślisz o tym, żeby wstąpić do naszej ulubionej karczmy?

– Racja. Zobaczmy, czy coś się zmieniło od czasu naszej ostatniej wizyty.

Przeszli brukowaną drogą, po obu stronach otoczoną domami mieszczańskimi. Wokół nich mieszczanie radowali się i zawiadamiali krewnych i sąsiadów o zwycięstwie, zaś reszta powracała do swoich zajęć. Wreszcie znaleźli się pod drewnianym budynkiem o drewnianych drzwiach, nad którymi wisiała tabliczka „Karczma Inn Valida”.

Otworzyli skrzypiące drzwi i weszli do środka.

Tego dnia w karczmie było wiele osób. Jako że byli stałymi gośćmi, rozpoznali większość z nich. Byli to różni ludzie trudzący się różnymi zawodami. Niektórzy z nich byli kowalami, bednarzami, inni szewcami i piekarzami, było też paru rycerzy nieznanym im z imienia. Był również stary Komal, krewny karczmarza, który jak zwy-



kle zajmował najdalsze miejsce przy ladzie. Poza nimi były również trzy dostojnie ubrane panie oraz dwóch szachistów o skupionych twarzach, wpatrujących się w planszę między nimi.

Karczmarz był chwilowo nieobecny.

– O, witajcie, panowie rycerze – jako pierwszy spostrzegł ich Komal. – Miło was tu znowu widzieć. Nawet po śmiercionośnej wojnie skład karczmy pozostaje podobny.

– Witaj, panie Komal – przywitał się rycerz. – Jak się miewa karczma?

– Bez obaw, karczma ma się dobrze. – odparł starzec. – Prędeż schudnę, niż karczma zbankrutuje.

W karczmie rozległ się czyjś śmiech. Faktycznie, Komal najwidoczniej nie miał zamiaru przestać tyć. Mówiono o nim, że gdyby chciał, zjadłby wszystko w karczmie, a ograniczać go miał jedynie jego zasób pieniędzy. Trochę w tym prawdy było.

– A jak tam na wojnie? – spytał Komal. – Jak zawsze niespokojnie? – dodał, rymując.

– Raczej się uspokaja po naszym zwycięstwie – odparł rycerz. – Myślę, że wojna miewa się ku końcowi.

– Miło słyszeć. Im mniej wojny, tym więcej pieniędzy w karczmie. Wprawdzie nie dla mnie, ale przynajmniej będę miał gdzie jeść.

Tymczasem w głębi karczmy odbywała się dość głośna rozmowa. Dało się słyszeć:

– Nie może tak ciągle atakować, zwróciłby uwagę całego miasta!

– A może właśnie to chce zrobić?

– O choździ? – spytał jeden z rycerzy.

– Daruj, to tylko takie spekulacje – odparł Komal.

– Właśnie, że nie! – odparł tamten. – To zawsze ten sam człowiek.

W międzyczasie z magazynu powrócił karczmarz.

– Witam nowych gości! A raczej starych gości! – uśmiechnął się karczmarz. – Co podać?

– Gdyby był to ten sam człowiek, już dawno by go zgarnęli! – kontynuował dyskusję Komal.

– A co, jeśli nie?

– Co się dzieje? O kogo chodzi? – spytał karczmarz.

– Nic ważnego – odwrócił się Komal. – Znowu gadają o tym niby-przestępcy, co by miał stać za narastającymi zniknięciami ludzi w mieście. To nic innego, jak bujda, a ludzie znikają, bo głodni żołnierze napadają mieszczan i kradną zapasy żywności.

– Bzdury, nie wszyscy byli zasobni w żywność – odparł rozmówca z głębi karczmy, po czym zwrócił się do karczmarza. – Chodzi o podobnie opisywanego człowieka, który jest sprawcą ataków na bogatych mieszczan. Nie wielu miało nawet szansę poznać jego imię, podobno nazywa się Doktor Prund.

Komal westchnął. Atmosfera w karczmie zaczęła się ożywiać. Działo to źle na szachistów, którzy nie odrywali oczu od planszy. Jeden z nich stracił więź i ze zdenerwowaniem na twarzy wpatrywał się w swoją trudną sytuację.

– Interesujące. – Karczmarz się zastanowił. – Tylko kogo on atakuje? I po co?

– A może to ktoś z tajnych służb królestwa, wynajdujący szpiegów z wrogich krain? – zasugerował inny z rozmówców z głębi karczmy, z zawodu kowal.

– Najwidoczniej – odparł po chwili karczmarz. – Na waszym miejscu nie przejmowałbym się nim.

– To nie ma sensu – zauważył trzeci z dyskutantów, bednarz. – Gdyby był z tajnych służb, nie przedstawiałby się ofiarom nawet gdyby był pewien ich losu.

– Jeśli mogę się wtrącić – do dyskusji włączył się jeden z rycerzy – nie widziałem ani nie słyszałem o tym, żeby ktoś z wojska masowo kradł zapasy. Po wygranej bitwie mamy ich tylko więcej.

– To kolejna trafna sugestia – zgodził się bednarz, po czym zaprosił rycerzy do stołu. – Lista podejrzanych zaczyna być coraz mniejsza...

Rycerze wzięli wcześniej zamówione wino z lady i przysiedli się. Komal zrezygnował z uczestnictwa w bezsensownej, jego zdaniem, dyskusji, i wpatrywał się w szachistów, a karczmarz zajął się następnymi gośćmi.

– Może i mamy coraz mniej ludzi do podejrzenia, lecz nadal jest to większość miasta! – zauważył kowal – Myślę, że ta dyskusja faktycznie dąży donikąd.

Rozległy się pomruki przygnębienia.

– Chyba, że... – zastanowił się rycerz.

– Chyba, że co?

– Chyba, że znajdziemy kogoś, kto przetrwał spotkanie z Prundem.

## Rozdział II

Dyskusja w karczmie trwała do wieczora, a przy napojach i kartach rycerze i rzemieślnicy przesiedzieli do nocy. Jeszcze tam byli, gdy z karczmy wychodził jeden z szachistów. Spojrzał na granatowe niebo i westchnął.

Przegrał pięć gier do dwóch. Tego dnia nie szło mu najlepiej. W przeciwieństwie do innych rozgrywek, hałas w karczmie był dla niego bardziej dokuczliwy, niż zwykle. A może to sam hałas był większy niż zwykle?

Świeże, wilgotne po wieczornej ulewie powietrze nieco uspokoiło szachistę. Po chwili namysłu skręcił w najbliższą uliczkę, zmierzając z powrotem do swego domu. Po drodze mijał sprzedawców, rzemieślników i żebraków. Ci pierwsi krzykliwie oferowali swoje produkty, zaś ci ostatni cicho prosili o pieniądze.

Jednak szachista nie słuchał. Nie patrzył nawet na drogę. Analizował wszystkie rozgrywki i szukał swoich błędów. Większość widział jak na dłoni, jednak wtedy, podczas gry, były one dla niego jakby niewidoczne. Jak gdyby były zwykłymi ruchami.

Z rozmyślań wyrwała go ręka, która nagle chwyciła go za kołnierz i pociągnęła między ściany budynków.

– Co to? Kto to?

– Ciii – uciszył go nieznajomy. Miał na sobie kaptur i w cieniu nocy i budynków jego twarz pozostawała niewidoczna. – Ciszej. Nie lubię rozgłosu.

– Kim jesteś i czego chcesz? – zapytał już ciszej szachista.

– Czy wiedziałeś, że chodząc po brukowanej drodze, nie patrząc na nią, możesz się potknąć o wystający

kamień? – zauważył nieznajomy.

– Być... może – odparł po chwili szachista – ale co to ma do rzeczy?

– Mógłbyś się zranić, a to mi nie na rękę.

Szachista popatrzył na niego zdziwiony.

– Czemu miałbym być dla ciebie ważny? Kim ty w ogóle jesteś, zakapturzony nieznajomy?

– Powiedzmy, że jestem tylko gońcem w rękach kogoś mocniejszego, mówiąc w waszym żargonie – uśmiechnął się kapturnik.

– Cokolwiek ode mnie chcesz, nie pomogę ci – odparł szachista po chwili namysłu. – Jestem tylko nic nie znaczącym pionkiem...

– ... któremu mogę pokazać drogę do ostatniego rzędu, a wtedy stanie się znaczący – dokończył tajemniczo kapturnik. – Powiedz, co cię ostatnio trapi?

Szachista przez chwilę stał nieruchomo i wpatrywał się w zakrytego kapturem nieznajomego. Próbował rozpoznać jego twarz, nadaremnie.

– Cóż... Jeśli cię to interesuje, nie miałem ostatnio szczęścia w wygrywaniu w szachy. Jednak co to ma do rzeczy?

– Masz więc szczęście, szachisto, znalazłeś bowiem odpowiednią osobę. Razem możemy zaradzić twej przeszkodzie...

– W jakiż to sposób?

– No, możemy, że tak powiem, usunąć ją z twej drogi.

– Jak usunąć? Chcesz kogoś zabić?

– Nie żeby od razu zabić, tego nie powiedziałem – rzekł kapturnik z wyciągniętymi do przodu rękami. – Ale...

– Natrafiłeś na niewłaściwą osobę – rzekł po chwili szachista. – Nie chcę nikogo krzywdzić. Lepiej pozwól mi odejść, bo inaczej będziesz miał swój niepożądany rozgłos.

Kapturnik ucichł, mina mu zrzędła. Szachista powoli oddalił się, patrząc na niego zdenerwowany.

Po paru krokach odwrócił się. Kapturnik zniknął tak samo szybko, jak się pojawił. Szachista ruszył dalej, lecz intuicja podpowiadała mu, że powrót do domu to teraz nie najlepszy pomysł. Ruszył w stronę kościoła.

Nie uszedł daleko, a znów ktoś go chwycił i pociągnął za róg budynku.

– Zostawcie mnie! – krzyknął.

– Ciszej, bo tamten usłyszy! – warknął nieznajomy. W przeciwieństwie do kapturnika, ten miał odśloniętą twarz, jasnobrązowe włosy i wzrok surowy.

Szachista posłuchał i ucichł.

– Nazywam się Brond i nie mam złych zamiarów – powiedział. – Powiedz, byle nie głośno, co od ciebie chciał ten zakapturzony człowiek?

– Nie jestem pewien... – rzekł szachista, uspokajając się. – Wydaje mi się, że oferował mi pomoc w zabiciu bądź skrzywdzeniu kogoś.

– I co mu powiedziałeś? – spytał Brond, wyraźnie zadowolony.

– Nie zgodziłem się i zagroziłem mu, że jeśli mnie nie zostawi, zadbam o to, żeby został zauważony.

Brond myślał przez chwilę, po czym rzekł:

– Uważam, że nie jesteś tu bezpieczny. Póki co szukaj miejsc, w których zawsze znajdziesz ludzi.

– Zmierzałem właśnie do kościoła.

– Dobra decyzja. Gdybyś znów go spotkał, znajdź

mnie. I jeszcze jedno: gdyby ktoś pytał, ta rozmowa nie miała miejsca – rzekł Brond, po czym zniknął za ścianami budynków.

Kurczę, pomyślał szachista, po czym ruszył dalej. Cały czas upewniał się, że ma wokół siebie przynajmniej kilku ludzi i nie skręcał w puste uliczki.

Minęło dużo czasu, zanim udało mu się bezpiecznie dojść do kościoła. Budynek był ogromny, jednak w mroku trudno było podziwiać ogrom jego ścian.

Szachista wszedł do środka.

Kościół był jednym z najważniejszych budynków w mieście, nie dziwne więc, że wyglądał co najmniej majestatycznie. Ściany były bogato ozdobione, podłoga wyłożona gładkim kamieniem, a każdy krok tworzył echo, dające się usłyszeć w całym pomieszczeniu. Od góry kościół pokrywało potężne sklepienie.

Tuż pod przeciwną ścianą, pośrodku, stała roślina, będąca głównym przedmiotem kultu. Drugiej tak pięknej rośliny nie można było znaleźć w całym królestwie, bowiem sadzenie jej było zakazane przez religię.

Religią tą było czczenie świętego Jedynego Buraka. Jedyne Burak mógł rosnąć tylko tutaj, w świątyni stołecznej. W świątyniach poza stolicą najczęściej sadzono atrapy bądź sztuczne buraki, toteż w Dzień Zasadzenia duża część populacji wyruszała w pielgrzymkę do Maka Bonk. Uczęszczanie do świątyni nie było obowiązkowe, a inne religie były w królestwie dozwolone, o ile nie budowano dla nich świątyń. Jednak praktykujących i tak było wielu, bowiem religia ta istniała w królestwie już od wieków i wraz z wzrostem poparcia dla Rabzanidów rósł wzrost poparcia dla Jedynego Buraka. Fanatycy religijni palili

uprawy buraków nie tylko w królestwie i sąsiednich krajach, ale i na całym kontynencie.

Szachista nie był głęboko wierzący i rzadko uczęszczał do Świątyni Jedynego Buraka, jednak tym razem ukląkł przed rośliną i wyszeptał:

– O, Buraku... Daj mi ochronę przed tajemniczym człowiekiem w kapturze...

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie postąpić jak fanatyk, pochylić się i pocałować przedmiot kultu, jednak po dłuższej chwili klęczenia wstał i usiadł w jednej z pobliskich ławek.

Wpadł w zamyślenie. Kim jest tajemniczy zakapturzony człowiek i dlaczego nie chce pokazać swojej twarzy? Dlaczego oferował mu dokonanie wspólnej zbrodni? Co kombinuje Brond?

– Psst, hej, ty. – Poczul dotknięcie z tyłu.

Odwrócił się prędko, gotowy na najgorsze. Zobaczył grupkę zwykłych ludzi. Poznał niektóre twarze, widział je wcześniej w karczmie.

– Nie bój się. Usłyszeliśmy przypadkiem twoje modły. Podobno widziałeś kapturnika, nie mylę się?

– Tak – odparł po chwili. – Kim on jest?

– Jeszcze nie wiemy – odparł tamten – lecz coraz więcej ludzi ma z nim styczność. Niektórzy z nich zniknęli, a dwóch przeżyło atak kogoś, kto przedstawiał się jako Doktor Prund. Czy spotkałeś kogoś jeszcze?

– Nie – odparł po chwili szachista. Przypomniał sobie, że miał nikomu nie mówić o rozmowie z Brondem.

– Szkoda. Chociaż z drugiej strony, to dobrze. Być może nie byłoby cię tutaj.

Szachistę przeszedł dreszcz, po którym przyszła fala nowych pytań bez odpowiedzi. Dlaczego akurat on?



Czemu miałyby nadawać się do zbrodni? I kim jest ten Prund, o którym wszyscy ostatnio mówią?

Coś mu się przypomniało.

– Podczas naszej rozmowy – przerwał rozmowę mieszkańców – kapturnik powiedział, że komuś służy, czyli ten Prund, o którym mówicie, może być jego przywódcą.

– To ciekawe, i łączy się w całość z pozostałymi znanymi nam faktami – zauważył jeden z nich. – Dziękujemy za pomoc w śledztwie.

Śledztwo. Brond też mógł je prowadzić. To by znaczyło, że jest detektywem, pomyślał szachista.

Musiał go odnaleźć.

## Rozdział III

Po doskolane przyrządzonym królewskim śniadaniu Rab-Dawi postanowił wybrać się do parku. Schodząc schodami mijał wiele dostojnie ubranych postaci, spośród których większość była mu znana. Byli to głównie bogaci szlachcice oraz królewska służba.

Wśród postaci jedna wyraźnie zwróciła jego uwagę.

– Witaj, panie Szmulckin! - wykrzyknął król.

– Dzień dobry, Wasza Królewska Mość – odparł Dr. Szmulckin. – Czy chciałbyś porozmawiać?

– Jasne, właśnie wybieram się do parku. Powiedz, jak tam się mają twoje eksperymenty?

Dr. Szmulckin, z zawodu chemik, na co dzień miał do czynienia z nietypowymi mieszaninami, które analizował, a następnie przeprowadzał przeróżne eksperymenty. Posiadał w zamku własną komnatę zaopatrzoną we wszelkie przedmioty potrzebne mu do badań, a kilka tygodni temu uzyskał nawet asystenta.

Chemik myślał chwilę i odparł:

– Cóż... Ostatnio nie odniosłem większych sukcesów. Próbowałem odkryć nową mieszankę dla trujących strzał, ale za każdym razem, gdy byłem już blisko, mieszanka traciła potrzebne właściwości. Raz nawet wybuchła, nie odniosłem jednak większych obrażeń.

– Ach, tak - odparł król. – Ostatnio ciągle próbujesz zrewolucjonizować sposób, w jaki toczy my wojnę z nieprzyjacielem. Nadal pamiętam twój ostatni wynalazek, rzucaną mieszankę wybuchową. Z początku wydawał się wspaniały, jednak dość szybko okazało się, że czasem

mieszanka wybucha za wcześnie. Niektórzy nadal z niej korzystają.

– A widzisz, korzystają – odparł Szmulckin. – Wierzę, że przyszłość to broń chemiczna. Być może za kilka lat opracuję coś, co zupełnie zmieni walkę z wrogimi wojskami!

– O ile przestaniesz trzymać się swojej „zasady”, że lepiej nie ruszać skończonego wynalazku. A potem okazuje się, że nici z wynalazku.

– Oj, wcale tak nie robię – oburzył się chemik. – Czasem może zbyt szybko uważam coś za skończone.

– Czasem? Moim zdaniem zawsze - upierał się król.

– A jak tobie się powodzi w polityce, Wasza Królewska Mość? - zmienił temat Szmulckin.

Rab-Dawi westchnął. Polityka i polityka. Miał nadzieję, że na chwilę się od niej uwolni, a tu znowu wraca, nawet w najmniej spodziewanych momentach. Cóż, takie jest życie króla, pomyślał Rab-Dawi.

– Jak już pewnie słyszałeś, kilka dni temu nareszcie rozprawiliśmy się z Osemią w wielkiej bitwie pod Gazuką. Tylko czekać, aż poproszą o rozejm i zawieszenie broni.

Szli chwilę w ciszy przez korytarz. Gdy doszli do łuku wyjściowego, za którym zamek się kończył, Dr. Szmulckin przystanął, mówiąc:

– Hmm, a jakby to był podstęp?

– Co masz na myśli?

– Wasza Królewska Mość myśli, że to już koniec, że wszystko działa, jak należy, a tymczasem coś jest nie w porządku?

– Tak jak z twoimi wynalazkami? – Rab-Dawi dokończył myśl chemika. – Nie bądź śmieszny, wojna to co innego. Wiem, kiedy wygrywam.

– Skoro tak uważasz... – mruknął Szmulckin. – Cóż, na mnie już czas. Do zobaczenia, Wasza Królewska Mość.

Król również się pożegnał i ruszył w dalszą drogę. Niedaleko towarzyszyła mu straż, jednak król wolał chodzić wolny od straży, bowiem ufał swoim ludziom i wierzył w ich lojalność. Przy Królewskim Parku zazwyczaj odwoływał straż bądź zostawiał ją przy wejściu. Zwykli ludzie i tak nie mieli dostępu do królewskiego parku, wolał więc cieszyć się chwilą względnej ciszy niż hałasem zbroi.

Park stanowił dość obszerną część miasta i był znany z rozmaitych drzew i roślin, a także wielkiego stawu. Król Rab-Dawi chodził do parku znacznie częściej, niż jego przodkowie. Mówiono o nim, że część jego mądrości i rozwagi bierze się z tego, że ciągle ma do czynienia ze świeżym powietrzem.

Najczęściej na wędrowki po parku król wybierał godziny południowe, gdyż wtedy większość miasta pracowała i w parku było najciszej. Właściwie jedynym dźwiękiem, jaki towarzyszył królowi, był szum klonów i dębów. Połączony z późnowiosennym klimatem był on wielce przyjemny.

Król zapomniał na chwilę o polityce, o sprawach ważnych, i oglądał parkowe okolice. Rozmyślał o rzeczach mniejszej wagi niż losy królestwa, o których to ciągle musiał wygłaszać przemówienia i toczyć narady.

Po chwili rozejrzał się, i nie znajdując nikogo dookoła, usiadł na ławce przed stawem. Wyjął chleb i, wry-

wając po kawałku, rzucał go kaczkom, które z chęcią pod pływały do króla. Kaczek w stawie było wiele i w różnych kolorach. Niektóre były szare, brązowawe, białe, niektóre były małe, a inne dorosłe.

Jednak jedna kaczka zdawała się odróżniać z tłumu. Nie była taka, jak inne. Coś ją wyróżniało.

– No, no, kogo ja tu widzę? Znów się spotykamy - powiedziała Złota Kaczka.

– Tak, to ja. – potwierdził Rab-Dawi.

– Co cię sprowadza w moje strony? Znowu chcesz prosić o pomoc?

– Ciszej, ostatnio to ty mnie prosiłeś o pomoc w sprowadzeniu większej ilości kaczek do stawu.

– Bzdury! – wykrzyknęła kaczka. – Gdybym chciał, sam bym je tu sprowadził. Jestem bogiem wszystkich ka-czek.

– Czyli nie chciałeś?

– Mniejsza z tym. Po co przyszedłeś?

– Chciałem cię powiadomić, że twoje przewidywania co do bitwy pod Gazuką okazały się prawidłowe.

– Wiem o tym. Sam tam byłem i walczyłem z naszymi wrogami.

– Nie wygaduj głupot – powiedział król. – Nie mogłeś tam być, a tym bardziej walczyć z ludźmi.

– Byłem, byłem, tylko na innym froncie. Moja część bitwy toczyła się w rzece nieopodal, pomiędzy stadami kaczek i innych ptaków wodnych.

Król się roześmiał.

– Co cię tak śmieszy? – zirytowała się kaczka. – Wojna to nie żarty. Zwłaszcza, że będzie kontratak.

– Aż tak bym się nie martwił kontratakiem kaczek.

– Nie kaczek. Ludzi – odparła Złota Kaczka. – Ose-

mia zbiera zapasowe armie i rusza na ostateczne starcie, aby odzyskać utracone ziemie.

– Niemożliwe, nie ma czego zbierać – zaprzeczył król.

– Ma, tylko jeszcze o tym nie wiecie. Żyję już długo i wiem, co mówię. To nie koniec wojny.

– To bezsens – uparł się król. – Nie będę zwoływał armii tylko dlatego, że podpowiada mi tak jakaś kaczką.

– Nie jestem jakąś tam kaczką. Jestem Żółtą Kaczką! Jak dotąd wszystkie moje przewidywania się sprawdziły.

– Ale to nie ma prawa się sprawdzić.

– No to przegrasz wojnę, czubku! A tak ci dobrze szło.

– Do mnie mówi się „Wasza Królewska Mość”!

– A do mnie „Wasza Boska Mość”! Gdzie nasze maniery!

Rab-Dawi westchnął. Trudno było się spierać z kimś, kto sam siebie uważał za największy autorytet. Postanowił zmienić temat.

– A jak tam u twoich kaczek?

– Bardzo dobrze, ostatnio przybywa mi coraz więcej poddanych – pochwaliła się Kaczka. – Niektórzy nadal nie rozumieją, że jestem ich bogiem.

– Może nie jesteś.

– Jak możesz tak mówić? Jestem najpiękniejszą ze wszystkich kaczek świata. Nie można mnie nie wielbić.

– A co, jeśli jest na świecie więcej Żółtych Kaczek?

– zasugerował Rab-Dawi. – Co, jeśli nie jesteś jedyny?

– Niemożliwe. Jestem czymś więcej, kaczką doskonałą, ósmym Cudem Świata. Jedna kaczką, by rządzić wszystkimi.

– Jedyńy w swoim rodzaju może być wyłącznie Świąty Burak – zaprzeczył Rab-Dawi.

– Tak, tak, wszystko sprowadzasz do buraka – mówiła Żłota Kaczka, wychodząc ze stawu i podnosząc głos.

– Gdybym chciał, już dawno bym ci go zdeptał. Mogę to zrobić w każdej chwili, ale jestem miłosiernym bogiem.

– Dobra – król machnął ręką. – Ta dyskusja prowadzi donikąd. Ty mówisz swoje, ja swoje. Tylko czas pokaże, kto ma rację. Ile zwykle żyją kaczki?

– Ciągłe zapominasz, że nie jestem jakąś tam kawką. Żyję dłużej niż cała ludzkość. Moje oczy widziały początek świata i zobaczą koniec.

Rab-Dawi tylko spojrział z politowaniem.

– Muszę iść – przypomniał sobie król. – Państwo mnie potrzebuje.

– Hej, to moja kwestia!

Król już odchodził od stawu, kiedy Kaczka coś się przypomniało.

– Zaczekaj! To może być ważne.

– Co takiego? – Król się nie zatrzymał, więc kaczka go dogoniła. – Za kilka chwil muszę być w zamku.

– Widzisz, słucham czasem rozmów ludzi, również w innych parkach niż królewskim. Zwykle nic ciekawego nie słyszę od tej podrzędnej rasy, ale ostatnio podsłuchałem naradę zwykłych mieszkańców, z której wynika, że w mieście grasuje tajemniczy osobnik będący powodem licznych zniknięć, przedstawiający się pseudonimem „Doktor Prund”.

– Że jak? Prund? – zdziwił się król. – To pewnie jakiś nic nie znaczący rabuś.

– Nie zawsze okrada ofiary – zaprzeczyła kaczka. – Podobno zależy mu na czymś specjalnym. Wprawdzie nie

tak specjalnym jak ja, ale uznałem, że warto cię powiadomić.

– To faktycznie dziwne. Jesteś pewien, że to nie jakaś zwykła teoria?

– Ja zawsze jestem pewien.

Dochodzili do bramy królewskiego parku.

– Jak chcesz. Ale teraz zostaw mnie, bo jesteśmy przy wyjściu. Nie chciałbym, żeby ktoś widział, jak rozmawiam z kaczką.

– Zrozumiałe, byłoby to fatalne dla króla. W takim razie do następnego razu. Miłego rządzenia podrzędną rasą.

– Tak, tak, miłego rządzenia bezmyślnymi kaczkami – zripostował król.

Złota Kaczka odleciała, a Rab-Dawi obejrzał się jeszcze raz, czy nikogo nie ma w pobliżu, i wyszedł w stronę zamku. Nad miastem zaczynały się zbierać chmury.

Żaden z nich nie wiedział, że byli obserwowani.



## Rozdział IV

Przypołudniowa ulewa znów przekształciła ziemię obrzeży Maka Bonk w brzydkie kałuże. Nad miastem pojawiła się lekka mgła, a szum i trzask gałęzi można było słyszeć nawet w domach.

Takie szумы i trzaski towarzyszyły Brondowi podczas jego pracy. Brond, z zawodu drwał, a w sekrecie także tajny detektyw królestwa, miał ręce pełne roboty. Mimo ostrzeżeń, nadal pracował nad kwestią Prunda.

Nie chodził już do baru „Wredny Smakosz”, ani do żadnych innych barów i karczm w mieście. Właściwie prawie w ogóle nie ruszał się z domu. Ostatnią rzeczą, której chciał, było odkrycie przez Prunda jego miejsca zamieszkania.

Wcześniej próbował śledzić kaptownika, jednak za każdym razem go gubił. Postanowił wysłuchiwać plotek i na tej podstawie wykryć kryjówkę wroga. Jak się okazało, ataków było znacznie więcej, niż przewidywał. Jednak nadal ich sprawcą pozostawał ten sam człowiek.

Doktor Prund.

Nagle usłyszał tłuczenie się szkła. Prędko podbiegł i wyjrzał z ostrożnością przez rozbite okno.

Sprawcy wybitego okna zdawało się nie widać, jednak Brond wyteżył wzrok i zauważył go w krzakach. Postać w kapturze. Tamten również go widział. Patrzyli na siebie przez chwilę, po czym kaptownik zniknął w krzakach. Brond wiedział, że nie miał szans go dogonić. Kaptownik nie tylko był daleko, był również mistrzem kamuflażu. Raz zniknął z oczu – i już go nie było.

Jego najgorsze obawy się potwierdziły. Prund znał już jego siedzibę. Nie był tu bezpieczny.

Podniósł to, co wybiło szybę. Był to kamień owinięty kartką. Brond ostrożnie rozwinął kartkę. Był na niej wielki czerwony napis „PRZESTAŃ”. Zbadał kredę. Nie, to nie była krew.

Brond już kilkakrotnie spotkał się z ostrzeżeniami Prunda, nawet w miejscach, w których wydawało się, że mogły one trafić w ręce kogoś innego. Za każdym razem Prund dawał mu do zrozumienia, że wszelkie próby pościgu źle się dla niego skończą.

Oczywiście, nie zamierzał przestać.

Wyszedł z domu, bo i tak nie miał już po co się ukrywać. Na zewnątrz było brzydko, brudno i cuchnęło biedą. Nie bez powodu na swoją siedzibę Brond wybrał najuboższą część miasta – bieda znakomicie maskowała powiązania z władzą. Brond zawsze ubierał się gorzej, niż wskazywałyby na to jego zasób pieniędzy; przystosowywał się w ten sposób do obszaru swojego zamieszkania.

Detektyw odetchnął świeżym powietrzem. Już dawno nim nie oddychał. Rozejrzał się. Stał na dość zabłoconej i zaniedbanej uliczce, rozciągającej się pomiędzy lekko podniszczonymi domami lub lepiankami o słomianych dachach.

Skoro i tak go znaleźli, nie miał już po co siedzieć w tej dziurze. Ruszył do śródmieścia z zamiarem wstąpienia do karczmy. Wokół niego ludzie żebrali o pieniądze bądź oferowali usługi typowe dla biedoty. W miarę zbliżania się do centrum miasta spotykał się z ofertami bednarzy, stolarzy, szewców i tym podobnych.

– Meble na sprzedaż! Sprzedajemy wysokiej jakości meble z drewna w niskiej cenie!

– Tylko teraz! Skórzane buty za pół ceny!

– Poręczna broń biała na sprzedaż! Obroń się przed napastnikiem teraz za mniejszą cenę!

Brond przystanął na chwilę i odwrócił się w stronę stoiska z bronią.

– Ile za ten biały sztylet po lewej?

– Chodzi o ten sztylet? – sprzedawca podniósł broń, a Brond przytaknął – Nie wiem, czy pana stać. To będzie osiemdziesiąt gramonów.

Brond wyjął sakiewkę pełną złota i opróżnił w jednej czwartej.

– No, no – kupiec był wyraźnie zaskoczony – Nie taki z pana biedak, na jakiego wygląda!

– Zgadza się. – potwierdził Brond, po czym zabrał sztylet i schował do bocznej kieszeni.

Miał oczywiście własną broń, lecz postanowił się dodatkowo zabezpieczyć. Uznał, że dodatkowa obrona przyda mu się bardziej niż pieniądze.

Wkrótce stanął pod jakąś karczmą i, nie czytając tabliczki zawieszanej nad drzwiami, otworzył skrzypiące drzwi i wszedł do środka.

– Witam w naszym gronie – przywitał go Komal, siedzący tam gdzie zwykle, po czym przyjrzał się bliżej. – Pan jest tu najwyraźniej nowy.

– Racja – przyznał Brond. – Nigdy nie chodziłem do karczm w tej części miasta.

– W takim razie natrafiłeś na najwyborniejszą karczmę w mieście! Witamy w „Inn Valida”! Mamy rozmaite jedło i napitki z całego miasta i nie tylko, a także mnóstwo gęb do gadania.

– Przyznaję, nazwa dosyć trafna – odpowiedział

swoim spokojnym głosem Brond – zaś co do reszty karczmy wkrótce się przekonam.

Szybko zwrócił się do niego karczmarz, wcześniej zajęty obsługiwaniem jednego z klientów.

– Witam w „Inn Valida”. Co podać?

– Najlepiej wino czerwone, półsłodkie – odparł Brond. Rzadko wybierał coś innego, kiedy miał na głowie poważną sprawę.

Karczmarz wkrótce podał mu napój, a w międzyczasie Brond wypatrzył sobie jednoosobowy stolik w kącie pod oknem. Usiadł i powoli opróżnił zawartość szklanki, zastanawiając się nad swoją sytuacją.

Mimo, że zarówno rozmawiających, jak i toczących się rozmów było wiele, detektyw postanowił nie włączać się do żadnej z nich. Nie chciał, aby kapturnik myślał, że dzieli się informacjami z innymi, a był pewien, że jest przez niego obserwowany. Tylko czekał na właściwy moment, żeby zgarnąć Bronda. W obliczu swojego położenia detektyw postanowił opuścić miasto, uprzednio informując przełożonych.

W międzyczasie usłyszał część rozmowy karczmarza z Komalem:

– ... na dwie, góra trzy godziny. Dasz radę mnie zastąpić, dopóki nie wrócę?

– Bez problemu – odparł z uśmiechem Komal.

– Dobra, wychodzę. Tylko nie narozrabiaj! – karczmarz wyszedł. Brond wiedział, dokąd zmierza.

Niektórzy w karczmie posyłali Brondowi tajemnicze spojrzenia; widocznie mu nie ufali. Brond znał podobnych ludzi. Mogliby go wydać za choćby dwadzieścia gramonów. Nawet dziesięć.

Nie. Nie może tu zostać.

Powoli opuścił stolik i karczmę, nie żegnając się. Na zewnątrz wiał dość silny wiatr, było chłodno. Brond ruszył z powrotem do domu. Wiedział już, co zrobi.

Skręcił w boczną uliczkę i rozpoznał człowieka przed sobą.

– Panie Brond! – krzyknął znajomy szachista. – Potrzebuję pańskiej pomocy.

Brond natychmiast skierował się w inną uliczkę i pobiegł. Nie chciał narażać zwykłych mieszkańców, a tym bardziej odsłaniać swojej tożsamości przed ludźmi dookoła.

– Zaczekaj! – szachista pobiegł za nim.

Brond skręcił w boczną uliczkę. Szachista za nim. Detektyw skręcił jeszcze raz, a zaraz potem zniknął między dwoma budynkami. Żeby zupełnie zniknąć szachiście z oczu, wbiegł za róg budynku.

Zza rogu coś błyskawicznie go uderzyło i odebrało przytomność. Zanim zupełnie ją utracił, zdołał jeszcze usłyszeć odbijające się echem słowa:

– Żegnam, panie Brond.

## Rozdział V

Korytarze zamkowe były niezwykle bogato wystrojone. Wiszące na ścianach lampiony oświetlały czerwony dywan ozdobiony kwiecistymi wzorami. Glemin, karczmarz „Inn Validy”, podziwiał napotkane na każdym kroku światła, jaśniejsze niż gdziekolwiek w mieście, i potężne marmurowe ściany.

Lada chwila miało się rozpocząć spotkanie, na które został zaproszony. Co dwa tygodnie król organizował uczyty towarzyskie, na których omawiano sytuację ekonomiczną i społeczną królestwa, a także dyskutowano o sztuce i nauce. Skład gości nie zawsze był taki sam, więc Glemin był wielce rad z zaproszenia.

Przed spotkaniem Glemin postanowił jeszcze wstąpić do Komnaty Królów. Była to jedna z najładniej wystrojonych komnat królestwa, na której ścianach znajdowały się portrety władców z poprzednich epok królestwa.

Karczmarz był dość zainteresowany historią królestwa, które liczyło sobie już 532 lata. Królestwo założył niejaki Buru-Gar Wysoki w roku 106 przed Burakiem. Jego portret znajdował się obok wejścia do komnaty i nie wyglądał dość imponująco - widocznie lepszy portret się nie zachował lub nie powstał. Glemina nieco śmieszyła niewyraźna twarz z koślawymi ustami i dość zabawnie wystającym nosem, jednak karczmarz starał się nie śmiać – nie był w sali sam.

– Piękna jest ta sala królów – oświadczył jeden z zaproszonych gości. – Pełno w niej... królów.

– Zgadza się – potwierdził karczmarz. – Który, pańskim zdaniem, rządził najlepiej?

– Wielu rządziło wspaniale, lecz nikt nie dorównuje Rab-Dawiemu.

– A, tak. Racja – zgodził się karczmarz.

– Jeśli jednak Rab-Dawiego nie liczyć, najlepszym wydaje mi się król Rab-Morai, pradziadek naszego króla. To właśnie on wygnał z północy dzikie plemię Zbaarów, które niegdyś nękało królestwo, zapoczątkował też morski handel i ustabilizował gospodarkę.

– Faktycznie, nawet portret ma poważny. Widać, że był potężny – karczmarz patrzył na majestatyczny portret – ... oczywiście nie tak bardzo, jak nasz król Rab-Dawi – dodał.

– Zgadza się. Mimo trudnej sytuacji spowodowanej rządami Rab-Sanara, Rab-Dawi „naprawił” gospodarkę i granice królestwa, a teraz tworzy nam najpotężniejsze królestwo w całej okolicy. Wkrótce będziemy niezwyciężeni, a to wszystko dzięki naszemu królowi. Niech żyje Rab-Dawi!

– Tak, niech żyje.

Do sali wszedł zamkowy służący.

– Król zaprasza do stołu! Wszyscy są proszeni do wielkiej sali jadalnej!

– Czas na nas – powiedział nieznajomy obok karczmarza. Obaj poszli schodami na górę i wkrótce dotarli do wielkiej sali.

Jak sama nazwa głosiła, sala była wielka, a jedna z szerszych ścian była pełna ogromnych kolorowych okien, z których widać było pół miasta. Na wielkim, ozdobnym fotelu na końcu podłużnego stołu siedział król, a obok niego członkowie rodziny królewskiej. Bliżsi królowi książęta i księżniczki mogli rządzić poszczególnymi obszarami królestwa, podlegając przy tym królowi. Nie

wszyscy z nich byli obecni, bowiem niektóre obszary królestwa znajdowały się na tyle daleko, że tamtejsi członkowie rodziny nie mieli czasu na tak częste spotkania.

Glemin zajął miejsce w okolicach środka stołu i rozejrzał się po gościach. Poza nim było jeszcze dwóch karczmarzy, z czego jeden siedział obok niego. Większość gości nie była mu znana, rzadko miał bowiem do czynienia z ludźmi usytuowanymi najwyżej w hierarchii społecznej, jednak rozpoznał również niektórych handlarzy, którzy zajęli drugi koniec stołu. Większość z nich rozmawiała ze sobą, jednak jeden z nich milczał. Jego twarz wydawała się nietutejsza, były na niej łatwo zauważalne blizny, ale większość zakrywały średniej długości włosy.

Wkrótce przybyła służba, przynosząc jedzenie. Przed Gleminem postawiono tacę, na której pod blaszaną pokrywką podano barszcz czerwony. Jednocześnie odezwał się głos z prawej strony:

– Prosimy o ciszę! Król pragnie coś ogłosić.

Gdy tylko ucichły ostatnie głosy handlarzy, król wstał z fotela i przemówił:

– Uroczyście witam wszystkich na ucztach. Tych, którzy są tu po raz pierwszy, zachęcam do rozmów na wszelkie tematy związane z królestwem, waszym rzemiosłem, lub sprawami pokroju społecznego.

Najpierw wzięły górę rozmowy artystów. Jeden z nich pracował nad obrazem zwycięskiej bitwy pod Gazuką, zaś dwóch namalowało obrazy króla i spierało się, który z nich lepiej przedstawia monarchę. Ostatecznie zawyrokowano, że żaden, gdyż król nie nosi długich wąsów ani



brody sięgającej do klatki piersiowej. Glemin przysłuchiwał się rozmowom ze śmiechem, jak się okazało, nie sam:

– Zabawni są ci artyści – przyznał siedzący obok niego Helin, właściciel baru „Wredny Smakosz”. – Niby tacy detaliczni, a jednak popełniają takie błędy.

– Cóż, nie na co dzień widzi się króla – zauważył trafnie Glemin. Jego uwagę pochwycili inni.

Chwilę później podano drugie danie, w skład którego wchodził znakomicie przyprawiony kurczak. Rozmowy przeniosły się na tematy kulinarne. Jako karczmarz, Glemin musiał przyznać, że królewska kuchnia jest znakomita. Swoją opinią dzielili się również handlarze z krańca stołu, którzy wcześniej angażowali się tylko w rozmowy między sobą.

Jednak w pewnej chwili wydarzyło się coś dziwnego. Służący wszedł i podbiegł do króla, po czym wyszeptał tajną informację, a król w mgnieniu oka spoważniał, a uśmiech znikł z jego twarzy. Na chwilę zapadła cisza, król bowiem zastanawiał się, czy podać informację do ogólnej wiadomości. Słyszeć było wyłącznie rozmowy handlarzy, jak zwykle spierających się o sprzedawalność i cenę swoich produktów. Nie odróżniali rozmowy królewskiej od zwykłej sprzeczki.

– Doszły mnie wieści – zaczął wreszcie król – że w tajemniczych okolicznościach zaginął jeden z naszych najlepszych królewskich detektywów. Postanowiłem to ogłosić między nami, ponieważ jest to już trzeci przypadek zniknięcia detektywa, który zajmował się dopadnięciem największego z przestępców stolicy, znanego jako Prund. Co więcej, ten detektyw zajmował się wyłącznie sprawą owego Prunda.

W sali zapanowało poruszenie.

– Słyszałem o nim – powiedział Helin. – Podobno zaatakował kogoś w mojej karczmie pod moją nieobecność.

– W „Inn Validzie” już wszyscy o nim mówią! – pochwycił Glemin. – Zabrał mi już kilku stałych gości, chętnie sam się za niego wezmę!

Po chwili zauważył na sobie spojrzenie jednego z handlarzy, tego z bliźnami. Handlarz prędko odwrócił twarz, jakby chcąc ukryć fakt, że w ogóle na niego spojrział.

Atmosfera w sali robiła się gorąca, dopóki nie podano trzeciego, ostatniego dania, i rozmowy nieco się uspokoiły przy potrawach. Następnie handlarze powrócili do rozmów o handlu, a reszta poszła w ich ślady.

– Słyszałem, że ostatnio bawełna dobrze sprzedaje się na rynku zagranicznym. Czy to prawda, panie Vites? To pan się nią najbardziej zajmuje.

– Doprawdy? Ach tak, taak... – odparł niepewnie handlarz z bliźną na twarzy. Odchrząknął i dodał pewniej: – Ostatnio faktycznie mamy wysoką sprzedawalność na zamorskim rynku bawełny. Jednak z morskich artykułów dobrze sprzedają się również ryby, zwłaszcza pstrągi i dorsze.

Tym razem to karczmarz „Inn Validy” spojrział na niego z zastanowieniem. Wydawał się być... kimś innym. Wtedy Vites zauważył jego spojrzenie i to karczmarz szybko cofnął wzrok.

Rozmowy trwały jeszcze z godzinę. Król rozmawiał teraz o polityce wewnętrznej, co niezbyt ciekawiło karczmarza. Widząc, że niektórzy goście zaczynają się rozchodzić, Glemin również wstał, pożegnał się i ruszył do wyjścia. Tym razem nie oglądał już bogatych dekoracji

zamkowych. Od godziny miał w głowie od dawna prowadzone rozmowy o Doktorze Prundzie, które zawsze uważał za fałszywe teorie. Wraz z ogłoszeniem jego istnienia przez samego króla, nie miał już wątpliwości, że ktoś faktycznie dobiera się do jego klientów. A to mu się nie podobało. Ze względów finansowych.

Przy wyjściu przystanął i zastanowił się. Ktoś z tyłu wpadł na niego.

– Oj, przepraszam – powiedział handlarz z blizną na twarzy. – O, to pan jest właścicielem „Inn Validy”! Słyszałem o tej karczynie same dobre opinie. Będę musiał tam kiedyś wstąpić.

Karczmarz podziękował, po czym handlarz się oddalił. Glemin znowu wpadł w zamyślenie, tym razem o handlarzu. Spojrzał w stronę, w którą odchodził, lecz nie było go ani tam, ani nigdzie indziej. Zauważył jednak schodzącego z głównej drogi człowieka z twarzą zakrytą kapturem.

Czy już go gdzieś nie widział?

## Rozdział VI

Jak każdej nocy, w mieście panowała niemal absolutna ciemność. Najwięcej światła dawała pełnia księżyca wiszącego na środku nieba. Wraz z gwiazdami odbijał się w parkowym stawie.

Park był tej nocy spokojny. Jak zwykle, nie było tu ludzi o tej porze dnia. Były tylko kaczki i inne ptaki. Jednak jedna kaczka nie była taka, jak inne.

Złota Kaczka swoim zwyczajem pływała leniwie po stawie, obserwując odbicie nieba w tafli stawu. Gdyby spojrzała wyżej, może by zauważyła, że poza kaczkami i innymi ptakami jest tu ktoś jeszcze.

– Niebawem. Złota Kaczka – powiedział ktoś siedzący na ławce.

– Prawda? No, no, widzę, że jestem już tak piękny, że ludzie nawet nocą chcą mnie podziwiać!

– Skoro jesteś złoty, może spełniasz jakieś życzenia? - nieznajomy wstał.

– Ha, nic z tego! Chyba mnie pomyliłeś z jakąś rybą! - parsknęła kaczka. – Ja jestem kawką, a to oznacza, że to *ty* musisz spełniać *moje* życzenia!

– Niebawem. Zyskałeś głos, a już chcesz więcej. To takie ludzkie.

Tym razem kaczka nie znalazła dobrej riposty. Próbowwała się bliżej przyjrzeć, z kim rozmawia, ale nie zdołała ujrzeć twarzy pod kapturem. Wobec braku odpowiedzi, kapturnik kontynuował:

– Czego jeszcze byś chciał, hm? Może zostać człowiekiem? To by było twoje następne życzenie?

– Człowiekiem? Nic z tego. Kto by chciał należeć

do tej podrzędnej rasy?

– Intrygujący pogląd - przyznał kapturnik.

– Nie żebym się interesował, w końcu jestem bogiem, ale... z kim właściwie rozmawiam?

Kapturnik zastanawiał się przez chwilę w milczeniu.

– Moje imię nic nie znaczy. Ale jeśli naprawdę chcesz wiedzieć – nieznajomy zdjął kaptur – nazywam się Nasir al-Chemia. Jestem wiernym sługą Jedynego...

– Buraka? No tak, to ma sens - te szaty, kaptur... Przeszedłeś, aby pozbyć się „fałszywego” bóstwa?

– Burak...? – Nasir wpadł w zamyślenie. – A, no tak, Jedyne Burak... Nie zdarzyło mi się chodzić do kościoła, toteż zapomniałem, iż w ogóle istnieje. Chyba czas zacząć tam chodzić po tyłu zbrodniach, zwłaszcza, że robi się coraz ciszej...

Teraz Żłota Kaczka już wiedziała, z kim rozmawia. Ale jak się tu dostał? I skąd wiedział, kim jest?

– Widzę, że zdumiewa cię moja wiedza – zauważył kapturnik – jednak wcale nie tak trudno cię znaleźć, zwłaszcza, gdy spotyka się z tobą sam Król.

Kaczce zabrakło słów.

– Faktycznie, niełatwo się tu dostać niezauważonym, ale czy jest to niemożliwe? Jak widzisz, nie. Sam dostajesz się tutaj bez pytania, czemu mnie więc nie wolno?

– Ja jestem kaczką, a to co innego - zaprzeczyła Żłota Kaczka, po czym nabrała powietrza.

– Aha, podrzędna rasa i tak dalej, nie musisz się wysilać – przerwał Nasir z machnięciem ręki. - I co teraz, bogu? Skosztuję twego gniewu? – uśmiechnął się.

– Jeszcze nie, dopóki nie poznam twoich intencji.

– Nie znasz ich? Co więc wiesz jako bóg? To, co usłyszysz od ludzi w parku?

– Żyjesz w zakłamaniu – odparła po chwili Złota Kaczka. – Myślisz, że bóg jest wszytkowiedzący, a mnie wcale nie jest tak łatwo. Praca boga to strasznie dużo tyrania. Myślisz, że do czego mi tylu służących?

– Tych kaczek? Słuchają się ciebie?

– No a jak! Przecież jestem bogiem.

– Intrygujące – przyznał. – Ale jak wydajesz im rozkazy? Po kaczemu?

– No jasne, chyba nie myślałeś, że po ludzkiemu. Musiałbym tyle gadać, a to tak męczy język. Streszczajmy się. Czego chcesz?

– Myślałem, że trochę dłużej pogawędzimy, zanim dotrzemy do trudnych spraw. – Nasir westchnął. – Wiesz, twoje kontakty z Królem są mi trochę nie na rękę. Zbyt wiele mu mówisz jak na kaczkę. Dlatego obawiam się, że będę musiał cię uciszyć.

– Aha, aha, zapomniałeś tylko o jednej rzeczy. Boga nie da się zabić.

– Nie żeby tak od razu zabić, nie mówiłem tak – zaprzeczył. – Jednak muszę cię na jakiś czas zatrzymać.

Sięgnął do skózanego worka i wyjął podłużną sieć.

– O, to ja będę odfruć. Było miło.

Kaczka zaczęła odlatywać, jednak sieć zawisła nad nią i zciągnęła z powrotem na ziemię.

– Co to ma być? Nie wolno tak! Wiesz, kim jestem? Już po tobie! Twoje godziny są...

– Ciszej tam. – Nasir wetknął kaczce w dziób jakiś płyn, po czym kaczka umilkła. – Nie lubię rozgłosu.

\*

Kiedy Dr. Szumlickin wyszedł ze sklepu, ulicę pokrywały już cienie domów.

Minął niemal cały dzień, a on nie miał szansy powiadomić Króla o jego nowym odkryciu. Z tego, co zdołał się dowiedzieć na zamku, Rab-Dawi wyruszył ranem do parku, jednak na dłużej niż zwykle. W parku nie zastał go, dowiedział się zaś, że król ruszył ze strażą w inne miejsca.

Coś tu nie pasowało. Wszystko wydawało się dziwne, zwłaszcza po wczorajszych nowinach na obiedzie. Gdzieś w mieście dało się czuć niepokój. Nawet sprzedawca w sklepie przyglądał mu się z uwagą, a w jego oczach dało się wyczuć podejrzliwość.

Szumlickin spojrzął po kolei na kupione produkty. Powinny wystarczyć do dokończenia eksperymentu.

Cały dzień spędził, chodząc po sklepach i kupując brakujące składniki do swojego dzieła. Ani razu nie natknął się na Rab-Dawiego, ani jego straż. Cóż, wkrótce na pewno spotka go w zamku. Zrezygnowany ruszył w drogę powrotną.

Myślał o tym detektywie, Brondzie. Jak to się stało, że zniknięcie tego człowieka wywołało takie poruszenie? Ta sprawa musiała być ważna, skoro nawet Król się tym przejął.

Dopiero po chwili zauważył, że w pobliżu daje się słyszeć stukot zbroi.

Straż Rab-Dawiego.

Ruszył szybszym krokiem w stronę uzbrojonych maszerujących żołnierzy. Między nimi szedł Rab-Dawi we własnej osobie. Coś wyraźnie nie dawało mu spokoju.

– Wasza Królewska Mość! – zawołał Dr. Szumlickin, podchodząc. – Co się stało?

– Ach, to pan, Doktorze Szmulckin. – Westchnął Król, wyraźnie zmęczony wędrówką. – Nic, co mogłoby cię zainteresować... Mam do załatwienia pewną sprawę osobistą.

– Aha – odparł Szmulckin, po czym odważył się zapytać. – Jakaż to jest sprawa?

– Ostatnio w Maka Bonk zaczęła maleć liczba kaczek. – odparł Rab-Dawi po chwili.

– Kaczek? – zdziwił się chemik.

– Tak, kaczek.

Szmulckin szedł przez chwilę w zdziwieniu. Co Króla mogą interesować kaczkki? Aż tak przejmuje się losami królestwa, że chce zadbać o lokalną populację kaczek?

Mimo to Szmulckin próbował znaleźć powód obaw Króla.

– Hmm, nie powinny jeszcze odlatywać. Przecież nawet jeszcze nie ma lata.

– Dokładnie – odparł Król, jakby o to mu właśnie chodziło. Jednocześnie jednak wydawał się mieć jakąś głębszą obawę.

Po kilkuset krokach Szmulckin przypuszczał, że odkrył powód zmartwienia Króla i w końcu odezwał się:

– Myślisz o tym, że ta sprawa z zabójcą może mieć związek również z kaczkami?

Rab-Dawi spojrzał na niego z nutą zaskoczenia.

– Niewykluczone – odparł.

Po chwili dodał, jakby chcąc zmienić temat:

– Jak tam się miewają twoje eksperymenty?

– A, właśnie! Byłbym zapomniiał – odparł chemik.

– Ostatnio przypadkiem natrafiłem na dość nietypowo kleistą substancję. Popracowałem trochę i wydaje mi się,



że jestem blisko wynalezienia potężnego kleju. Jeśli badania się powiodą, może nawet przyda się do budowy.

– To ciekawe... – odparł Rab-Dawi z lekkim rozbawieniem. – Ze zmian w wojsku przeniosłeś się do rewolucji na budowie z silniejszym klejem... szmulcklejem.

– Szmulcklej! – Dr. Szmulckin wpadł w donośny śmiech. Król również się śmiał.

Chwilę później przechodzili obok zamku i Szmulckin się odłączył, zaś Rab-Dawi ruszył dalej, mimo że za parę godzin miała nadejść noc.

\*

W swej pracowni Dr. Szmulckin kontynuował prace nad „szmulcklejem”, jednak pewna sprawa nie dawała mu spokoju. Za każdym razem, gdy zapisywał na kartce obliczenia, bądź sprawdzał właściwości mieszanin, sprawa Prunda brała na chwilę górę.

Poza tajemniczym zniknięciem Bronda istniała teraz również kwestia kaczek – dlaczego Rab-Dawi spędził cały dzień chodząc po siedliskach kaczek? Czyżby czegoś szukał? Cała ta sprawa wydawała się dość dziwna.

Nagle wpadł na pewien pomysł. Tak, klej może zaczekać. Czas rozpocząć własne śledztwo.

## Rozdział VII

*Ucieczka. Skręt w lewo. Wołanie: zaczekaj! W prawo. Znow w lewo. Nie może nikogo narażać. W prawo i za budynek. Uderzenie. Ból. Żegnam, panie Brond...*

Otworzył oczy, uświadamiając sobie, że odzyskał przytomność. Pamiętał wszystko, co się wydarzyło do chwili, gdy otrzymał nagły cios w twarz jakimś twardym przedmiotem. Dobrze wiedział, co się stało. Czyli teraz jest w...

Rozejrzał się. Ciemność. Jedyne źródło światła stanowiły słabe promyki słońca, ledwie wdzierające się do groty.

Złapał pręty oddzielające go od reszty pomieszczenia. Były zrobione z metalu. Zbyt mocno trzymały się podłoga i sufitu, aby dało się je wywrócić.

Jest w pułapce.

Z całej siły naparł na pręty, wydając przy tym krzyk. Źródło światła rosło, aż do groty weszła postać z lampionem w ręce.

– To bezskuteczne – postawił lampion na wystającej części ściany. – Stąd nie ma wyjścia.

Rozpoznał łagodny głos kaptownika. Brond puścił pręty i wpatrywał się w niego ze wściekłością.

– Po co mnie więzisz? – Odezwał się wreszcie. – Czemu mnie po prostu nie zabijesz?

Nasir westchnął.

– Wszyscy albo podejrzewacie, albo mówicie, że zabijam lub mam zabić. Ty, ten szachista, przed którym uciekałeś... – podniósł lampion i podszedł bliżej – ... i on.

Lampion oświetlił niewidoczną wcześniej część groty. W malutkim, głębokim stawie spała Złota Kaczka.

– Trzymasz tu kaczkę? – zdenerwowanie Bronda powoli ustępowało zdziwieniu.

– Powiedzmy, że to nie jest jakaś tam kaczka. – odparł swym tajemniczym głosem Nasir. – Coś ją wyróżnia.

Kaczka obudziła się.

– Ktoś mnie wołał? – spytała, po czym ujrzała Nasira. – To znowu ty! Zemsta Boga cię dosięgnie!

Brond nigdy nie był tak zdumiony, jak teraz.

– C... Co to jest? – wykrztusił.

– Pracujesz jako tajny detektyw królestwa i nie wiesz? – uśmiechnął się Nasir. – Król spotyka się z nim częściej, niż z tobą.

– Król spotyka się z... kaczką?

– O tak, nie będzie litości – odezwała się kaczka do Nasira. – Jak tylko stąd wyjdę, rozniosę cię w pył! – szarpnęła nogami – Ej, ej, co to?

– A, to... - uśmiech Nasira się rozszerzył. – Założyliśmy ci kajdanki. Nawet jeśli uciekniesz, nie zajdziesz daleko. Latanie też nic ci nie da, bowiem ciężar kajdanek zciągnie cię na ziemię. Jesteś bezbronny.

Kaczka się wierciła. W międzyczasie Brond się otrząsnął.

– Co wywołało u ciebie taką nienawiść do tej kaczki?

Nasir odwrócił się w jego stronę.

– Zazwyczaj nic nie mam do kaczek. Są łagodne i niekiedy nawet je podziwiam. Jednak ta kaczka, poza tym, że jest nadzwyczajna, zawraca głowę Królowi naszymi sprawami. A to mi niezwykle nie na rękę.

– Myślałem, że chcecie mieć rozgłos...  
– ... aby ludzie się nas bali? Nie bądź śmieszny.  
Nie jesteśmy zwykłymi złoczyńcami, chcemy czegoś...

– Chemia! - przerwał władczy głos. - Jesteś potrzebny.

– Al-Chemia – poprawił Nasir, po czym wyszedł.  
Dało się słyszeć szmery rozmowy, jednak trudno było rozpoznać słowa. Brond zwrócił się do Kaczki.

– Kim ty właściwie jesteś?  
– Nie wiesz? Na jakim świecie ty żyjesz...  
– Daruj sobie – przerwał Brond – i przejdź do rzeczy.

Kaczka chrząknęła.

– Jestem Żółtą Kaczką, Bogiem wszystkich kaczek.  
Wśród ludzi moja tożsamość była tajna – głupia podrzędna rasa – ale chcąc nie chcąc poznaliście mnie.

– Co masz wspólnego z Królem?  
– Doradzam mu; co chwila przychodzi do mnie za kłopotany i błaga o pomoc.

– Trochę wyolbrzymia – wszedł z powrotem Nasir z rękami założonymi do tyłu – ale trochę w tym prawdy jest. – Rozłożył ręce.

– Ja trochę wyolbrzymiam – odparła kaczka – a ty zaraz będziesz się zmniejszać!

– Ty trochę za dużo kłapiesz dziobem, a ja zaraz podam ci za to środek na sen – zripostował Nasir. - Pamiętaj ostatni raz? Nie było miło, prawda? Dużo nudności, mdłości, więc lepiej nie wymądrzaj się już.

Kaczka zakwakała ze zdenerwowania.

– Wracając do spraw ważnych – kontynuował – nie zatrzymaliśmy cię tylko po to, abyś nie sprawiał problemów. Mamy pewną sprawę do załatwienia.

Do pomieszczenia wolnym krokiem wszedł Doktor Prund z rękami założonymi na piersi.

– Witam. Znów się spotykamy, panie Brond.

Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem. Wreszcie głos zabrał Prund:

– Jak już wspomniał Chemia...

– Al-Chemia – poprawił go Nasir.

– ... zatrzymaliśmy cię po coś jeszcze. Widzisz, potrzebna nam twoja krew. – Brond odsunął się nieco od stalowych prętów. – Nie litry krwi, tylko kilka kropel. Wprawdzie nie wiemy, czy to właśnie *twoja* krew jest nam potrzebna, ale skoro tu już jesteś, nie szkodzi spróbować.

Brond spojrział na nich badawczo.

– Szukacie krwi kogoś konkretnego, ale nie wiecie, kogo... Po to rozpętaście całe to zniwo?

– Jest nam potrzebna do tego stopnia, że musieliśmy sprawdzić również własną krew!

Nasir i Prund odsłonili swoje lewe przedramienia. Na obu widniała czerwona, nieco wężowata linia.

– No i wszystko jasne! – wtrąciła się Żłota Kaczka.

– Fanatycy religijni. Nie wiedzą tylko, że ich religia to stek bzdur, bowiem jedynym słusznym Bogiem...

– Ucisz się! – Nasir cisnął małym kamykiem w stronę kaczki, celowo nie trafiając. Spojrział na Prunda, a ten skinął głową. Nasir wyjął szeroki nóż z pasa swej czarnej szaty i poszedł w stronę Bronda. – Nie próbuj się oddalać, to tylko zmusi nas do zastosowania bardziej drastycznych środków.

\*

Brond siedział oparty o ścianę i patrzył na swoją zakrwawioną rękę, jednak w głowie obmyślał już możliwe plany ucieczki.

Możliwością było niewiele. W zasadzie mógł jedynie czekać na pomoc z zewnątrz. Ostatecznie mógł posłużyć się Złotą Kaczką, jednak kaczką również nie mogła na wiele się zdać.

Ręka nie dawała o sobie zapomnieć. Po cięciu Nasir zebrał krew do niewielkiego pojemnika, po czym wylał ją do stawu, a następnie oczyścił w nim nóż.

– I to wszystko? – powiedział wtedy Brond. Nasir skinął głową i wraz z Prundem opuścili pomieszczenie.

Od tamtego czasu się nie pojawiali.

Czemu miał służyć ten rytuał? Skoro potrzebowali krwi, czemu wylali ją do stawu? Brond nie był w stanie znaleźć żadnego logicznego wyjaśnienia, poza zwyczajnym osłabieniem go. Ale wtedy nie miałyby sensu rany, które sami sobie wyrządzili. O dziwo więc, najbardziej sensowna była teoria Złotej Kaczki, że to zwykli fanatycy.

Jednak Brond czuł, że w tym chodzi o coś więcej. Nie pasowało mu takie proste wyjaśnienie. Tyle że aby ułożyć jakieś inne, potrzebny był brakujący element układanki... lub więcej elementów.

W grocie rozległy się kroki, a wkrótce do pomieszczenia więziennego powrócił Nasir al-Chemia. Tak jak poprzednim razem, nie zakrywał już przed nim swojego oblicza kapturem. Jego twarz była pokryta bliznami, które częściowo zakrywały średniej długości ciemne włosy.

– Jak się miewa ręka? – Zagadnął.

Brond nie odpowiedział. Po chwili jednak odezwał się na zupełnie inny temat:

– Musisz przybywać z dalekich stron. – Nasir przyjrzał mu się badawczo. – W życiu nie słyszałem tak pokrętnego imienia jak Nasir al-Chemia.

– Zgadza się, nie jestem stąd. – Nasir usiadł nieopodal prętów, ale nie w zasięgu ręki Bronda. Mówił powoli, rozważając każde słowo. – Pochodzę z dość odległych krain, o których na pewno nigdy nie słyszałeś... – wpatrzył się w sufit. – O czym jeszcze myślałeś? W zamknięciu masz wiele czasu do myślenia.

Brond zastanawiał się, czy odpowiedzieć, a w międzyczasie Nasir wysnuwał przypuszczenia:

– Zapewne piewsze, o czym myślałeś, to sposób ucieczki, jednak, jak pewnie zdołałeś już zauważyć, nie ma żadnego. Jak już mówiłem, nie jesteśmy zwykłymi... złoczyńcami. – Ostatnie słowo wypowiedział tak, jakby nie był absolutnie pewien tej samooceny. Brond był pewny, że próbuje w ten sposób go do nich przekonać. – Zapewne myślałeś również o Złotej Kaczce – skąd się wzięła taka anomalia?

– Nie anomalia, a cud – przerwała kaczka. Nasir zignorował uwagę i kontynuował:

– ... A już na pewno myślałeś o tym, po co ci to wszystko zrobiliśmy.

Brond dalej milczał. Nasir przeniósł wzrok z sufitu na niego, jakby oczekując, że się wypowie. Nie doczekał się reakcji.

– Cóż więc, skoro nie chcesz rozmawiać, pójdę już. Nie będę tu spędzać całego dnia.

Wstał i powoli ruszył do wyjścia. Tak, jak spodziewał się Brond, odwrócił się jeszcze.

– Na pewno nie chcesz wiedzieć?

Teraz to Nasir spotkał się z wyczekującym wzrokiem Bronda. Przez chwilę wahał się.

– Wielka szkoda.

Już miał wyjść, lecz powstrzymał go ktoś inny.

– Mów! Siła boska rozkazuje ci mówić! – wykrzy-  
czała Żłota Kaczka.

Brond mimowolnie zaśmiał się w myślach. Tym-  
czasem Nasir na coś wpadł.

– Wrócę za chwilę – wyszedł, po czym powrócił z  
jakąś księgą. Położył ją przed stawem. Wyglądała na starą.  
– Jeśli umiecie współpracować, uda wam się przeczytać  
treść. Podkreśliłem najważniejsze – uśmiechnął się, po  
czym wyszedł.

Brond westchnął. Cóż, przynajmniej mieli co robić.



## Rozdział VIII

Wkrótce po śniadaniu, Dr. Szmulckin wyruszył na własne śledztwo. Przez noc układał w głowie wszystko, co wiedział o tajemniczym Prundzie i porwanym detektywie i miał plan, gdzie się udać.

Po drodze niespodziewanie spotkał Króla. Jak zwykle podążali tą samą drogą w stronę bocznego wyjścia. Król zauważył go pierwszy.

– Witaj, panie Szmulckin!

– Dzień dobry, Wasza Królewska Mość! – odparł entuzjastycznie.

– Wyglądasz, jakby wypełniała cię radość – zauważył Rab-Dawi, pocierając brodę. – Coś odkryłeś. Czyżby szmulckej się powiódł?

– Zgadza się, Wasza Królewska Mość. – Szmulckin wyjął ze skórzanej kieszeni niewielką fiolkę z niemal przezroczystą substancją. – Jeszcze go nie przetestowałem, lecz wygląda na skończony.

– Oby się nie okazało, że będzie tak, jak z tą moją bitwą. – Odparł Król, gdy dochodzili do wyjścia.

– Miałem rację? To jeszcze nie koniec wojny? – Szmulckin wyraźnie się zmartwił pomimo satysfakcji.

– Zgadza się... jednak wkrótce...

Król nagle przerwał, gdy substancja zaczęła się wydostawać z flaszki Dr. Szmulckina, roztopiając część flaszki i wypływając na trawę.

– Ojej... – chemik był wyraźnie zaskoczony – ojej...

Po opadnięciu na trawę, niemalże niewidoczna substancja zaczęła rosnąć w półprzezroczyste błoto.

– Nie martw się. Do jutra służba powinna się z tym uporać. – pocieszył go Król.

– To nie powinno się wydarzyć... – stwierdził nadal zdziwiony Szmulckin. Gdyby poprzedniego dnia nie spędził tyle czasu nad obmyślaniem śledztwa, może spostrzegłby ten błąd?

– Na szczęście nie rozpląnęło się w twojej kieszeni – roześmiał się Rab-Dawi. – Wtedy to by było nieciekawie.

Szulckin mruknął coś pod nosem i ruszyli w dalszą drogę.

– Jak na ironię, zarówno wojna, jak i eksperyment nie mają się tak dobrze, jak się spodziewaliśmy. – zauważył Rab-Dawi.

Rozmawiali jeszcze przez jakiś czas; potem każdy ruszył swoją drogą. Król znów powędrował do królewskiego parku, zaś Szmulckin wyruszył w miejsce, od którego planował rozpocząć swoje śledztwo.

\*

Glemin westchnął. Minęło kilka godzin, odkąd zaczął szukać wskazówek w domu detektywa Bronda, jednak najwyraźniej ludzie Króla byli tu przed nim i ostało się niewiele informacji.

Detektyw Brond zapisywał wszystkie informacje, jakie posiadał na temat śledztwa, a część z nich nadal tu była. Glemin odkrył, że kapturnik, którego najwyraźniej widział po uczcie królewskiej, załatwiał dla Prunda wiele spraw w miejscach, w których nie mógł się on pojawić osobiście. Brond wykonał nawet rysunek, który pokrywał się z tym, jak Glemin zapamiętał tajemniczego osobnika.

Jednak poza tym informacji nie było wiele. Albo większość zabrali ludzie Króla, albo Brond nie doszedł do

niczego więcej. Karczmarz „Inn Validy” wyszedł z mieszkania detektywa.

Natychmiast napotkał kogoś, kto najwyraźniej też chciał tam wejść. Chyba go już gdzieś widział.

Patrzyli na siebie przez chwilę w zaskoczeniu.

– Szuka pan tu czegoś? – spytał karczmarz.

Nieznajomy przez chwilę dobierał słowa. Glemin uznał to jako potwierdzenie i dodał:

– Nie znajdzie pan tu wiele. Podejrzewam, że ludzie Króla byli tu przed nami i zabrali większość informacji o śledztwie... A tak przy okazji – jestem Glemin, karczmarz „Inn Validy”.

– Ja jestem Dr. Szmulckin, zamkowy chemik.

– Hm, na pewno obilo mi się o uszy to imię – zastanowił się karczmarz. – Co pana interesuje sprawa Doktora Prunda?

– To samo pytanie chciałbym zadać panu – odparł chemik.

– Cóż, odkąd ta sprawa stała się głośna, w mojej karczmie zaczyna ubywać gości; zapewne się domyślasz, dlaczego. – Szmulckin przytaknął. – Gdy usłyszałem, że zaginął detektyw, postanowiłem rozpocząć własne śledztwo.

– Zaginięcie detektywa wywołało spory zamęt na zamku, jednak mnie najbardziej zaintrygował związek tej sprawy z kaczkami w parku.

– Kaczkami? – Glemin wybałuszył oczy. – Że jak?

– Właśnie tak – potwierdził Dr. Szmulckin i zaczął tłumaczyć, jak to spotkał Króla Rab-Dawiego w środku wieczoru wędrującego po siedliskach kaczek.

Już nie pierwszy raz Komal miał całą karczmę na głowie, jednak dzisiejszy zamęt był nie do opanowania. Otóż dzień wcześniej z powodu narastających zniknięć zamknięto sąsiednią karczmę, a większość jej stałych gości przeniosło się do „Inn Validy”. Hałas był dwukrotnie, a czasem nawet trzykrotnie większy niż zwykle.

W tym oto zamieszaniu Komal nie zauważył, że po drugiej stronie lady stoi nowy przybysz.

– Przepraszam – gość odezwał się dosyć nietypowym głosem – czy tu się zamawia? Można dostać spis dań?

– A, tak, tak, wybacz pan, to przez ten zamęt. – Komal podał mu menu, po czym bliżej się przypatrzył.

Gdy Glemin wyszedł, poza pilnowaniem karczmy kazał Komalowi mieć oko na to, czy w pobliżu nie kręci się jakiś zakapturzony człowiek w czarnych szatach. Komal zamrugał dwukrotnie. Stał przed nim właśnie taki człowiek.

– Co pana właściwie sprowadza do „Inn Validy” w ten dość pochmurny dzień? – Odważył się zapytać.

Kapturnik patrzył na niego przez chwilę, choć spod kaptura nie widać było nawet jego oczu. Komal nie przywykł do rozmów z tajemniczymi typami i jego zachowanie wydawało mu się dość dziwne. Nieznajomy wreszcie odpowiedział:

– Miałem niedgdyś rozmowę z jej właścicielem i gorąco mi ją polecał. A w pochmurne dni w karczmach jest najwięcej towarzystwa, nieprawdaż?

Wrócił do przeglądania menu. Komal się zamyślił. On rozmawiał z Gleminem, a Glemin kazał mu mieć oko właśnie na niego. Musiał niezwłocznie powiadomić karczmarza.

Kapturnik najwyraźniej wykrył coś w jego zachowaniu. Po chwili odłożył menu i stwierdził odmienionym głosem:

– Jednak nie znalazłem tu tego, czego szukałem, chociaż oferta wygląda bardzo apetycznie. Żegnam.

Szybkim krokiem wyszedł z karczmy. Komal nie mógł za nim iść, bo nie miał komu powierzyć obowiązków karczmarza.

Nagle zamarł. Przypomniało mu się coś, o czym wspominał kiedyś jeden z klientów. Doktorowi Prundowi pomagał jakiś kapturnik, który nigdy nie ujawniał twarzy.

Czy stał przed chwilą twarzą w twarz z przestępcą?

\*

Rozmowa z Dr. Szmulckinem, w której wymienili wszystko, czego dowiedzieli się o Prundzie, sprawiła Gleminowi wiele satysfakcji, jednak nie mógł na tak długo opuszczać karczmy. Podczas gdy chemik ruszył na dalsze poszukiwania, karczmarz ruszył z powrotem do swojej karczmy.

Przemyślał wszystko, co już wiedział o Prundzie. Zarówno Glemin, jak i Dr. Szmulckin nie wiedzieli wiele na jego temat. Z pogłosek dowiedział się zaś, że Prundowi pomaga pewna postać w kapturze. Właśnie taką postać widział tuż po opuszczeniu zamku poprzedniego dnia. Ale od tamtego czasu nie zauważył nikogo takiego.

Wszedł do karczmy i zanim zdążył się rozejrzeć, przed jego oczami stanął Komal i wypowiedział trzy słowa, które wszystko zmieniły:

– On tu był.

Karczmarz otworzył usta ze zdziwienia, ale zamiast mówić, prędko wybiegł z karczmy i rozejrzał się. Zaraz za nim wybiegło kilku klientów.

Glemin pobiegł w jedną, potem w drugą stronę, ale nigdzie nie widać było czarnych szat. Z westchnieniem odwrócił się do pozostałych.

– To nic, wracajcie do karczmy.

Weszli z powrotem, a na zewnątrz wyszedł Komal.

– Nie ma go? - powiedział cicho.

– Chyba – odparł karczmarz. – Wróć i opiekuj się karczmą. Ja rozejrzę się tu jeszcze trochę.

## Rozdział IX

Detektyw nadal przeglądał księgę, zdumiewając się co chwilę. To, o czym tu czytał, nie powinno mieć racji bytu. Początkowo czytał wraz ze Złotą Kaczką, jednak kaczką po chwili stwierdziła, że nie interesują ją „bzdury”, za jakie uznała treść tej księgi, bowiem księga mówiła o czymś niezwykłym, co nie było kaczką.

Tym czymś była niejaka Studnia Aghroru, która miała być posiadaczką ostatniej z wód antycznego miasta o nieznanym położeniu. Woda ta podobno ma mieć niezwykle właściwości, jednak jej tajemną moc aktywować można tylko po zmieszaniu jej z czymś innym. Brond nie wiedział jednak, dlaczego Nasir i Prund próbowali mieszać ją właśnie z krwią. I dlaczego tak bardzo tego potrzebowali.

Wszystkie możliwości Studni nie były znane, tak samo jak autor księgi. Podobno mogła ona zmieniać właściwości substancji, a nawet ich położenie.

Brond domyślił się również, że skoro Nasir wlewał krew do stawu w grocie, to staw ten najwyraźniej jest ową Studnią.

Nie zdążył się dowiedzieć więcej, gdyż wkrótce do pomieszczenia wkroczył Nasir al-Chemia i rzekł:

– Widzę, że zaciekała cię księga. Muszę ci jednak przerwać tę niezwykle ciekawą lekturę. Nie chcę, żebyś dowiedział się więcej, niż ja.

Podniósł księgę z podłogi i ostrożnie zamknął, po czym wyszedł bez słowa. Przez chwilę w drugim pomieszczeniu słychać było niespokojną dyskusję. Po jakimś czasie głosy ucichły i zapadła absolutna cisza.

Brond spojrział porozumiewawczo na Żółtą Kaczkę. Kaczka zrozumiała i zebrała siły, aby poruszyć się do wyjścia z grotu.

– Nie ma ich! – ogłosiła.

– Dobrze. Myślę, że nadszedł odpowiedni czas – odparł Brond. – Poszukaj czegokolwiek, co mogłoby mi pomóc się wydostać. Może al-Chemia trzyma tam jakieś substancje, z których możemy skorzystać.

Żółta Kaczka z trudem weszła do drugiego pomieszczenia w grocie. Po lewej stronie znajdowało się wyjście, a wszędzie aż roiło się od półek z flaszkami i fiolkami z przeróżnymi substancjami, z czego większość była zaopatrzona w niewielką kartkę papieru z informacją. Cały pokój wypełniał jakiś intensywny zapach wydostający się z kotła stojącego w samym środku pomieszczenia.

– Ale tu mają bimber! – wykrzyknęła kaczka.

– Nie podziwiaj, tylko szukaj! – przypomniał Brond.

Przez dłuższy czas kaczka się nie odzywała. Latała od jednej substancji do drugiej, aż krzyknęła:

– Hej! Co powiesz na „uszczuplającą substancję z efektem natychmiastowym”?

Brond wzdrygnął się.

– Spróbuj znaleźć coś lepszego.

Po chwili kaczka odparła:

– No, no, „napój czyni niewidocznym na tyle długo, ile się go wypije”! Bierzmy wszystkie fiolki!

– Nie, nie – zaproponował Brond. – Nie chcemy być niewidoczni, tylko wolni.

– Fakt, zapomniałem – odparła kaczka i szukała dalej. Po chwili krzyknęła: – Mam! „Świetnie rozpuszcza metal i inne substancje trwałe”.



– Brzmi dobrze. Tylko uważaj, żeby nic sobie nie zrobić!

– Nie martw się, żyję dostatecznie długo, żeby się na tym znać. – Odparła pewnie Żłota Kaczka, po czym otworzyła flaszkę dziobem i powoli zanurzyła w niej niewielkie kajdanki, nie mocząc przy tym nogi. Zanurzona część kajdanek rozpuściła się. – Działa! O kurcze, to działa! – Kaczka postąpiła tak samo z drugą nogą i kajdanki opadły. – Znowu jestem piękny!

– Wspaniale – uśmiechnął się Brond. – Jeszcze tylko ja.

– A, tak. Byłbym zapomniał. – Kaczka przyfrunęła z flaszką, trzymając ją w nogach, po czym wylała część zawartości na pręty przed Brondem. Prędko się rozpuściły.

– Nareszcie, znowu wolny – uśmiechnął się Brond. – Czas rozprawić się z tymi draniami.

Wyjście z grotu wyprowadziło ich z podziemi. Przed sobą ujrzeli niekończący się sosnowy las, zaś za sobą góry. Dochodził wieczór i na niebie pojawiały się już pierwsze gwiazdy.

– Chyba wiem, gdzie jesteśmy... – zamyślił się Brond. – Aby wrócić do miasta, powinniśmy iść mniej więcej...

– Tędy! – głos Kaczki dobiegał z góry. – Leć za mną. – Sfrunęła na dół i zaczęła lecieć w konkretnym kierunku. Brond podążył za kaczką.

\*

Słońce już niemal zaszło za horyzont, a nad zamkiem zaczynał górować księżyc. Dr. Szmulckin, zmęczony pracami nad udoskonaleniem „szmulckleju”, wyruszył na wieczorny spacer, aby odświeżyć myśli.

Jednak przed wyjściem z zamku napotkał nietypowy widok.

– Oj... Przepraszam. – Podeszedł do człowieka, który najwyraźniej utknął w kałuży szmulckleju.

– A niech mnie. Co to za syf? – zdziwił się zakapturzony nieznajomy, a w jego głosie oprócz poirytowania dało się słyszeć zaciekawienie. – Intrygujące, nigdy wcześniej nie napotkałem czegoś takiego.

– To moja wina – przyznał się chemik. – Postaram się pomóc.

Z pomocą Szmulckina, kapturnik wyskoczył z kałuży, jednak jego buty w niej pozostały.

– To pana dzieło? – zastanowił się kapturnik. – W takim razie pan to zapewne... Dr. Szmulckin. – Wypowiedział to z wyraźną satysfakcją.

– Zgadza się – potwierdził chemik.

– W takim razie będę musiał coś zrobić – kapturnik wyciągnął z kieszeni niewielki nóż. – Nie będzie bolało... Przynajmniej nie bardzo.

Szulckin w jednej chwili uzmysłowił sobie, kto przed nim stoi. Cofnął się przed wyciągniętą ręką.

– Nie, to nie – westchnął kapturnik. – Chciałem po dobroci, ale będzie bitka.

Szybkim ruchem zaatakował w stronę głowy chemika, jednak ten uniknął ciosu, a także dwóch następnych. W odpowiedzi wyciągnął nową fiolkę ze szmulcklejem i szybkim ruchem wylał zawartość prosto na napastnika.

– Aa! – zawył kapturnik. – A niech cię diabli! – Jedna ręka przykleiła mu się do szaty, zaś w drugiej nie mógł odkleić od siebie palców, choć wciąż trzymał nóż. – Ale to nadal ja mam broń.

– Tu jest! – wykrzyknął ktoś z tyłu. Kapturnik odwrócił się prędko. Po drugiej stronie stał Komal i karczmarz Glemin.

– Nareszcie – potarł ręce Glemin. – Całe szczęście Komal cię zauważył. Tym razem cię mamy.

– Nie sądzę – odparł krótko kapturnik, wyciągając i rzucając jakąś większą fiolkę. Rozbiła się na ziemi, a przed kapturnikiem rozciągnął się okropny odór, zaś on sam rzucił się do ucieczki.

W międzyczasie w krzakach coś się poruszyło i do kapturnika dołączyła druga uciekająca postać.

– To Doktor Prund! – wykrzyknął Glemin, rozpoznając go z opisów Bronda. – Za nimi!

Trójce ścigających wkrótce udało się ominąć śmierdzący dym z fiolki kapturnika i ruszyli w pogoń.

## Rozdział X

Za Brondem rozległo się kwakanie. Po drodze Żłota Kaczka napotkała inne kaczki i najwyraźniej zbierała je w grupę. Początkowo szli wydeptanym szlakiem, jednak wraz ze zmniejszaniem się odległości od miasta szlak był coraz mniej widoczny. Najwyraźniej Prund i Nasir zawsze podążali tą samą ścieżką, dopóki nie zbliżali się do miasta. Wtedy zmieniali kurs, aby nikt nie odnalazł ścieżki.

Nagle Brond przystanął. Kaczka również.

– Słyszysz to? – szepnął Brond, wsłuchując się w zbliżający się szelest.

– Ja wszystko słyszę – potwierdziła Kaczka.

Ktoś najwyraźniej się zbliżał, i nie starał się przy tym o ciszę. Brond dał kaczce znak i obaj zanurzyli się w krzaki.

Nie mogli trafić na lepszą okazję – w ich stronę uciekali i Nasir, i Prund, najwyraźniej kierując się do ścieżki.

Żłota Kaczka zakwakała i wszystkie kaczki jak na rozkaz obległy Nasira, który wydał z siebie krzyk szczerzego przerażenia. Doktor Prund stanął jak wryty i nie zdążył uniknąć ciosu Bronda wyskakującego z krzaków prosto na niego.

Szybko jednak Prund opamiętał się i ruszył w zupełnie inną stronę, porzucając przy tym Nasira. Brond pobiegł za nim wraz z kilkoma kaczkami. Nad całą operacją górowała Żłota Kaczka, krzycząc:

– Ha! Mamy was! Tym razem nie będzie litości!

Kaczki nie czyniły Prundowi wiele szkód, jednak utrudniały mu bieg. Brond trzymał się w odległości zale-

dwie kliku kroków od niego. W pewnej chwili przed sobą ujrzeli biegnących w ich stronę Szumlickina, Glemina i Komala, blokujących pozostałe drogi ucieczki.

W obliczu okrążenia, Prund w jednej chwili odwrócił się zwinnie, trafiając Bronda prosto w szczękę i uciekając w odwrotnym kierunku zanim detektyw zdołał go zatrzymać.

Brond zaklął i ponownie rzucił się w pogoń. Tym razem Prund się oddalał. Ale w oddali było coś jeszcze...

Szum zbroi się nasilił i wkrótce Prund odkrył, że został okrążony.

– To już koniec. – Król Rab-Dawi jechał konno. – Ze mną nie ma żartów.

Prund zeszywniał. Najwyraźniej nie spodziewał się tu Króla. Brond również nie krył zdziwienia.

– Król?

– We własnej osobie – uśmiechnął się Rab-Dawi. – Kaczka mnie wezwała. Zapewne wiesz, która.

Brond potaknął, po czym przypomniał sobie o Nasirze. Kaczki nie mogły go przypilnować, nawet cała chmara. Ruszył pędem przez las.

– Dobra robota – powiedział za nim Król.

– Podziękuj Kaczce, bez niej by się nie udało!

Rab-Dawi przeniósł wzrok na Prunda.

– Spodziewałeś się, że pozwolę ci tak biegać po mojej ziemi i mordować mieszkańców? Czeka cię poważna kara.

Na miejsce dotarli Dr. Szumlickin i reszta, po czym pokłonili się królowi. Dwóch żołnierzy złapało Prunda, który mimo wszystko próbował się wyzwolić.

– Nie będzie to potrzebne – Rab-Dawi uniósł rękę. – Szumlickin!

- Tak, Wasza Królewska Mość?
- Czy masz przy sobie jeszcze trochę... szmulckleju?

\*

Brond prędko powrócił na miejsce, w którym zostawił Nasira z kaczkami. Nie znalazł go, jednak zauważył szybki ruch w oddali. Przygryzł wargę i pobiegł jak najszybciej mógł.

Po kilku minutach udało mu się zmniejszyć dystans pomiędzy nim, a al-Chemią. Nasir wyraźnie nie radził sobie w lesie bez butów, które zostały w kałuży szmulckleju nieopodal zamku.

Ku zdziwieniu Bronda, kierował się do groty. Przecież stamtąd nie ucieknie, myślał Brond. Wraz ze zbliżaniem się do groty poczuł obawę, przypominając sobie o wszystkich dziwnych substancjach, jakie tam zastał. Czy Nasir ma się czym bronić?

Zastał grotę w zupełnie innym stanie, niż się spodziewał. Wielki kocioł pośrodku był wywrócony, a jego zawartość wylewała się w stronę drugiego pomieszczenia. Brond ostrożnie tam wszedł i znalazł Nasira w stawie.

Wskoczył i złapał go.

– Mam cię – powiedział, zdenerwowany i zmęczony. Nasir się uśmiechnął z gniewem.

– Nigdy – syknął.

Od dłuższego czasu substancja z kotła mieszała się z wodą ze stawu. Teraz woda zaczęła wydawać bardzo dziwne dźwięki.

– Co się tu dzieje? – zdziwił się Brond.

Nasir nie odpowiedział. Zamiast tego jakby rozplynął się. Zanim Brond zdążył cokolwiek pomyśleć, poczuł, że traci przytomność. Wszystko zalał mrok.

CIĄG DALSZY NASTĄPI